

MARGINESY

# Brygida

**B**rygida wróciła po ciężkim wieczorze do domu i rzuciła zaśniewany i brudny płaszcz na fotel. Wracając przewróciła się na oblodzonym chodniku, stłukła kolano i mocno ubrudziła w rozjeżdżonym przez samochody błocie i śniegu. Miała wrażenie, że tylko jej zdarzają się takie rzeczy. Bo czy ktokolwiek widział kiedyś ładną, szczupłą, modnie ubraną dziewczynę w szpilkach wyracającą się na ulicy? Ona jednak nie była ani ładna, ani szczupła i choć bardzo się starała – modnie ubrana. Ale miała mnóstwo znajomych i przyjaciół i właśnie wróciła ze swojej urodzinowej kolacji – niespodzianki.

Na dodatek Brygida miała naprawdę na imię Brygida. Podobno lata temu jej ojciec miał ciotkę o tym właśnie imieniu, dobrą i ciepłą kobietę i bardzo chciał, żeby jego córka miała takie samo. Niestety, nie przewidział, że choć córka faktycznie wyrosła na chodzące dobro, to od przedszkola aż po studia rówieśnicy będą drwić z tego, jak się nazywa. No, ale wróćmy do urodzinowego wieczoru. Ten dzień od początku nie był udany i Brygida, dla znajomych Brysia, miała nadzieję, że przeżyje go bezboleśnie. Stał on się jednak doskonałą okazją dla wszystkich jej znajomych, żeby przypomnieć jej, że właśnie skończyła trzydzieści lat. Wszystkie koleżanki w pracy, żyjące głównie życiem swoich mężów i małych dzieci życzyły jej znalezienia faceta i ustabilizowania się. Choć Brygida także o tym często myślała, to teraz czuła się, jakby każdy chciał wytknąć jej nieparzystość. Po pracy, przyjaciółka wyciągnęła ją na kawę do ulubionej knajpki. Brygida po cichu miała nadzieję, że faktycznie Anka zapomni o jej urodzinach, jednak tak się nie stało. Rozkręciła się prawdziwa impreza, a na domiar złego przyjaciele Brygidy sprezentowali jej śliczny, karmelowy sweterek z delikatnej wełny. Sweterek był rewelacyjny, ale na osobą co najmniej rozmiar szczuplejszą, co dodatkowo zdołowało Brysję.

Tego wieczoru Brygida siadła jeszcze przed komputerem, żeby rutynowo sprawdzić maile i swój profil społecznościowy. Sprawdziła także, założony w tajemnicy przed wszystkimi, swój profil na portalu randkowym. W reklamie portalu gwarantowano, że wprowadzenie swoich dokładnych preferencji, zainteresowań i wypełnienie testu ułatwi komputerowi połączenie ludzi w pary. Być może, jeszcze kilka lat temu Brygida uznałaby to za całkowitą słabość i ostatnią deskę ratunku, teraz jednak sprawdzała swoje konto regularnie. Nie dostawała jednak zbyt wielu interesujących i poważnych odpowiedzi. Właściwie – nie dostawała ich w ogóle. Na portalu zamieściła swoje zwykłe, nieretuszowane zdjęcie, na którym widać było mocno przykości dziewczynę, z mysimi włosami do ramion, w workowatym ubraniu kupionym na dziale dla kobiet w ciąży. Brygida stwierdziła, że nie będzie się wyglupiać – gdyby miała się komuś spodobać, to tylko taka, jaka jest naprawdę.

I tego właśnie, urodzinowego wieczoru Brygida dostała niedługo maila. Był to prawie mail miłosny – z kilkoma linijkami uroczych słów. Pierwszy taki list w jej życiu. Kobieta przeczytała maila kilka razy i sama nie wiedziała co o nim myśleć. Może był żartem? Ale w sumie tyle słyszała o związkach zawartych w sieci. Po namyśle napisała jednak krótką odpowiedź.

Następny dzień zaczął się już dla niej zgoła inaczej. Obudziła się zupełnie rozpromieniona, jakby kilka zdań dało jej nową energię. Przez cały dzień rozmyślała o tym, kto mógł być nadawcą maila. Po południu znów zaczęła się martwić, że może to był jednorazowy zryw jakiegoś nieśmiałego obserwatora. Tym większe było jej zdumienie i radość, gdy zobaczyła w swojej skrzynce kolejne wiadomości.

Sytuacja powtarzała się przez następne dni i tygodnie. Zakochanie w internetowym znajomym, z którym od kilku tygodni dyskutowała o książkach, filmach i muzyce przerodziło się w jakąś specyficzną formę związku. Brygida informowała swego internetowego „chłopaka” o wszystkim, co działo się w pracy, o jej zmartwieniach, wątpliwościach, przemyśleniach... I ten internetowy „chłopak” odpisywał jej tym samym.

W tym czasie, Brygida postanowiła odnowić swoje mieszkanie, wyniosła stare meble, które zastąpiła lepszymi i bardziej funkcjonalnymi. Także ona sama piękniała z dnia na dzień. W ciągu trzech tygodni schudła kilka kilogramów, za namową koleżanki odświeżyła swoją garderobę i zaczęła się malować. Świadcami tych wszystkich przemian były wścibskie koleżanki z biura, ale także znajomi, a nawet rodzina.

I wtedy nadszedł ten dzień. Brygida postanowiła poprosić internetową miłość o spotkanie w rzeczywistym świecie. Mężczyzna na początku wykręcał się z pomysłu, ale potem przystał na spotkanie.

Dzień przed spotkaniem Brygida miała spotkać się, jak zwykle, w knajpie z dwójką swoich znajomych, częścią paczki jej przyjaciół. Chłopaki byli jednak w wyjątkowo podłym nastroju. Jedyną śmiejącą się i rozchichotaną osobą była Brysia. I byłoby tak pewnie nadal, gdyby nie to, co jeden z jej znajomych miał jej do powiedzenia. Otóż, okazało się, że za internetową znajomością stało dwóch jej przyjaciół, znanych od lat. Marek i Tomek mieli nadzieję, że krótki, internetowy flirt pomoże Brysi się odprężyć i że kobieta potraktuje go z przymrużeniem oka. Nikt z nich nie pomyślał, że może to być dla Brysi tak ważne.

Brygida wybiegła wtedy z knajpy. Biegła tak dłuższą chwilę, płacząc i nie mogąc uwierzyć w swoją głupotę, naiwność i to, jak okrutnych i głupich ma kumpli. Płacz przeszedł w szloch, który uniemożliwił jej dalszy bieg. Gdy zziębnięta i słaba przysiadła na niskim murku i ukryła głowę w rękach dobiegł do niej Tomek. Osoba, którą najmniej chciała teraz widzieć, ale nie miała już siły biec dalej. Tomek klęczał teraz przed nią błagając o przebaczenie. Chłopak sam płakał i zarzekał się, że choć pierwotny pomysł był jego i Marka żartem, który jednak nie miał sprawić przykrości Brysi, to z czasem ewaluował w wyłącznie jego korespondencję i wszystko co pisał, było prawdą. Łącznie z internetowym wyznaniem miłości.



MWM

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

# Ekstraklasa dla obcokrajowców

**Nie da się ukryć, że futbol stał się obecnie poważnym sportowym biznesem. Równocześnie wielkim futbolowym show. Szefowie liczących się w europejskiej rywalizacji klubów nieustannie starają się uatrakcyjnić futbolowe widowiska.**

**Ś**ciągają do siebie wyróżniających się zawodników. I na tego typu transfery wydają sporo pieniędzy. Wszystko jest jednak dokładnie wylczone i wkłady muszą w efekcie przynieść zysk. Pod warunkiem, że drużyna wygrywa. Wtedy i sponsorów zdecydowanie łatwiej znaleźć. Do futbolowych widowisk dokładają sporo telewizyjne stacje, które też mają swoją „działkę” w tym interesie. A wszystko opiera się na barkach kibiców. Na meczach europejskiej elity na stadionach zasiada komplet widzów. I to nie tylko w spotkaniach Ligi Mistrzów czy Ligi Europejskiej. Na meczach ligowych w Anglii, Hiszpanii i Włoch, a także Niemiec i Francji zasiada od 35 do 80 tysięcy widzów. A to przynosi konkretne dochody klubowi. W efekcie wykrystalizowała się europejska klubowa elita, która od wielu, wielu lat nadaje ton rywalizacji. I nie jest łatwo do niej dołączyć.

Bieżący sezon jeszcze raz pokazał przepaść dzielącą polskie kluby i europejskich średniaków. Bo o nawiązaniu kontaktu z elitą nie można obecnie nawet marzyć.

Mistrz Polski, Lech Poznań, miał wyśmienitą okazję (niezłe losowanie) dojścia do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Niestety, wyeliminowany został przez Spartę Praga. Ta z kolei musiała uznać wyższość słowackiej Żiliny, która awansowała do fazy grupowej Ligi Mistrzów. Dlatego awans Lecha do fazy grupowej Ligi Europejskiej nie jest żadnym pozytywnym przykładem. Zespół z Poznania ten awans wywalczył szczęśliwie, a miał za przeciwników słabe zespoły. I nie daje szans Lechowi na wyjście z grupy w tej rywalizacji. A remis 3:3 z Juventusem Turyn należy zaliczyć do wypadki włoskiego zespołu.

Szefowie klubów naszej ekstraklasy marzą jednak o nawiązaniu skutecznej rywalizacji z europejskimi średniakami. Miały w tym pomóc zagraniczne transfery. No i przed nowym sezonem szefowie klubów zaczęli się ścigać w transferowej karuzelce. No i wydali sporo pieniędzy. W efekcie w drużynach naszej ekstraklasy mamy w sumie aż 116 obcokrajowców. Z zawodników tych można wystawić dziesięć „11”. Dodajmy jeszcze, że w klubach I ligi można się doliczyć 25, a może ciut więcej obcokrajowców.

Z jakich krajów pochodzą „futbolowi najemnicy”? Najwięcej z Serbii – 15, ze Słowacji – 14, z Brazylii – 11. Jeszcze z Bośni i Hercegowiny jest 7, z Litwy – 6, z Zimbabwe – 5. Po jednym jest m.in. z Angoli, Konga, Mołdawii, a nawet z Burundi i Burkina Faso. Tych dwóch ostatnich krajów niewielu kibiców potrafi umieścić na mapie.

W zagranicznym transferowym amoku wyróżniła się Legia Warszawa – 12

obcokrajowców. Lech, Widzew Łódź, Wisła Kraków mają po 10. Arka Gdynia, Jagiellonia, Zagłębie Lubin po 9. Jeszcze Lechia Gdańsk – 8, Korona Kielce – 7. Jakie umiejętności i poziom reprezentują sprowadzeni zawodnicy? Bardzo przeciętny, by nie powiedzieć słaby. Na przykład zawodnicy z Brazylii nie mogli znaleźć miejsca w drugoligowych zespołach Hiszpanii, Portugalii i Francji, a nawet w Grecji i Austrii, nie mówiąc o Anglii czy Niemczech. Po prostu nie każdy Brazylijczyk gra dobrze w piłkę nożną. Trafili jednak do naszych klubów. Z całej tej plejady bodajże trzech zawodników występuje w reprezentacjach swoich krajów. Są to z Wisły Kirm w Słowenii, z Lecha Rudnevs w Łotwie i z Widzewa Sernas w Litwie. A przecież reprezentacje tych krajów nie zaliczają się do europejskiej czołówki.

Natomiast rozgrywki polskiej ekstraklasy nadal są nisko oceniane przez międzynarodowych ekspertów.

Słaby poziom ekstraklasy przekłada się automatycznie na beznadziejne występy naszej reprezentacji. W drużynie narodowej winni grać najlepsi z drużyn ekstraklasy. Tymczasem brak jest wyróżniających się zawodników w wieku 24 – 28 lat. Nadal w ekstraklasie królują starsi zawodnicy: Niedzielan (31 lat), Frankowski (36 lat), Zewłakow (34 lat), Wichniarek (33 lat), Miciel (35lat) i jeszcze kilku innych. W ostatnich latach nastąpiła głęboka pokoleniowa czarna dziura. Zawodnicy urodzeni w latach 80-tych są słabo wyszkoleni technicznie, a do tego nie prezentują się korzystnie pod względem fizycznym i wytrzymałościowym.

Ściąganie przeciętnych obcokrajowców nie służy dobrze polskiemu futbolowi. Chociaż można rozumieć szefów klubów, którzy chcą mieć u siebie ciut lepszych zawodników od tych z krajowego chowu. Przez wiele ostatnich lat PZPN nie dostrzegł, albo nie chciał dostrzegać problemu. Niewiele dobrego zdołał na polu szkolenia młodych zawodników. W efekcie nasze drużyny juniorsko-młodzieżowe dostają regularne lanie od zagranicznych rówieśników. A reprezentacja? Trener Franciszek Smuda próbuje coś zrobić, ale nie ma z czego wybierać. Jeździ więc po Europie i szuka zawodników o polskich korzeniach. Na takich zasadach nie zbuduje się przyzwoitej reprezentacji.

Kierownictwo PZPN powinno jak najszybciej podjąć konkretne działania mające na celu podniesienie poziomu szkolenia młodzieży w klubach. Dlaczego w ramach licencji kluby zobowiązane są do prowadzenia tylko trzech zespołów juniorskich. Kiedyś obowiązywało 10 zespołów. Powinny równocześnie powstać szkoły wojewódzkie czy miejsko-powiatowe. I powinny się znaleźć środki na opłacenie trenerów i instruktorów. Równocześnie powinno się ograniczyć liczbę zawodników-obcokrajowców w klubach. Tak się czyni w krajach, które pod względem futbolowym zdecydowanie nas wyprzedzają. Dobre zaplecze, w miarę szybko stworzone, na pewno pozwoli na odbudowę polskiego futbolu. A wtedy nasza ekstraklasa będzie dla Polaków. No i trener Franciszek Smuda, albo inny szkoleniowiec, nie będzie musiał jeździć po świecie i szukać zawodników, których przodkowie jedli bigos lub śląskie kluski.

HENRYK MARZEC